

102790

102790 III

3

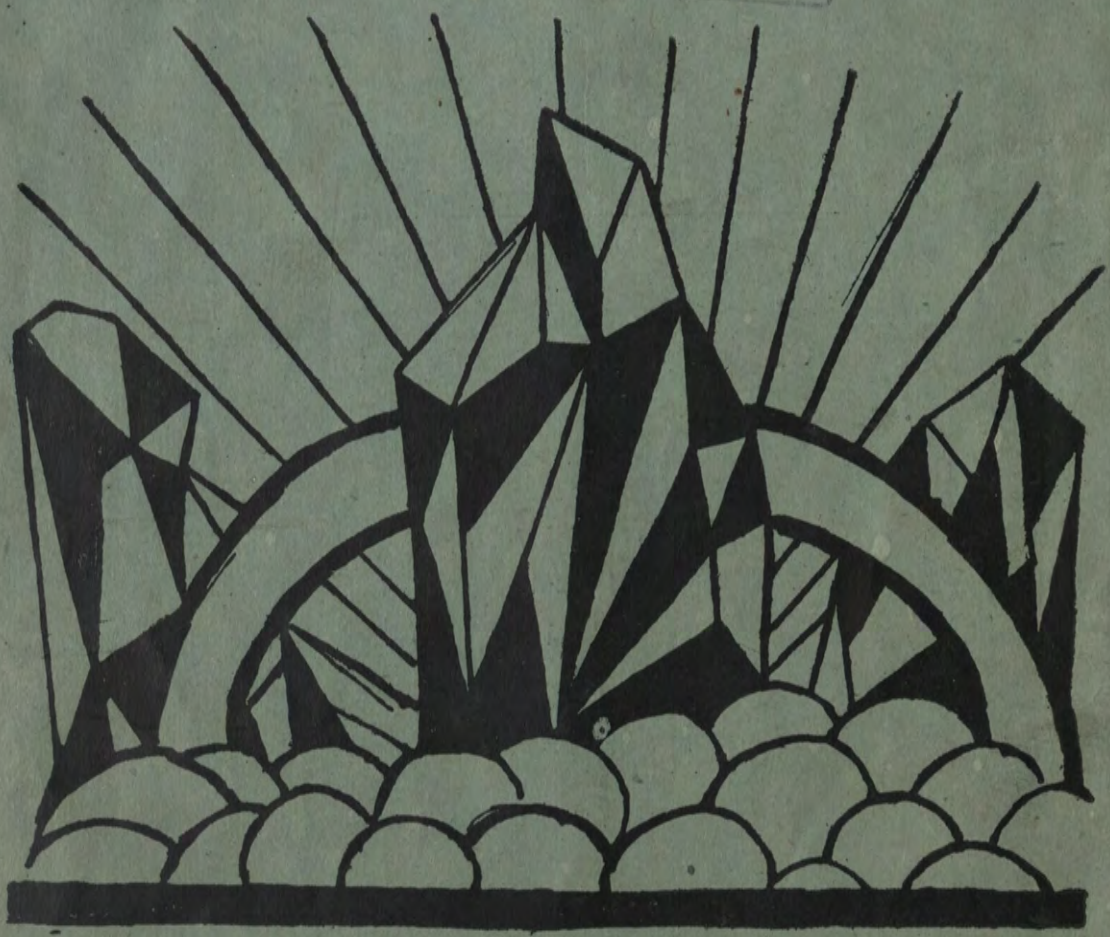
nr 1-3 maj 1944  
P. 11. 126

Magazyn  
na miejscu

4

Komisarjat Bezpieczeństwa  
na m. st. Warszawie  
Egzemplarz obowiązkowy

4



**SMOK**





311 186

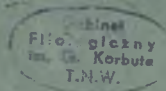
# SMOK

Czasopismo poetyckie  
poświęcone współczesnej  
sztuce i krytyce

Warszawa

1924

№ 4



*Henrykowi Sienkiewiczowi*

*Cytanowi prozy polskiej składa  
należny hołd*

*Grupa literacka „Smok”*

*Najwybitniejszemu przedstawicielowi  
prozy francuskiej*

*Anatolowi France'owi*

*składa hołd*

*Grupa literacka „Smok”*









## Fragment.

(Z poematu „Radio-depesze z Parnasu“).

1.

W elektryczną kulturę zblazowanej duszy  
(tej duszy, której szukacie od tysięcy lat)  
Rzucam Wam słowa w ogni pióropuszu,  
Klnąc, jak dorożkarz, psiakrew i psłamać...

Trójkolorowe rzucam proklamacje,  
Krzyczę każdemu do ucha co krok  
— Wszystko mi jedno, kto z nas ma rację!..  
— **Otwierać bramy!!!**

Dosyć mam napuszonych, estetycznych słów...  
Zawczasie jest na Prawdę, zapóźno na Kłamstwa...  
W żadnym senniku niema, niewyśnionych snów  
I ciasne są dziś dla mnie granice i państwa.

Gdy myśl każda się kąpie w nieba sublimacie  
Gdy grają telefony, szumią seismografy —  
W półmrocznej, zadymionej siedzicie komnacie  
Szukacie — odkrywacie — gadacie — gadacie —  
Śnią Wam się światy — Nowe światy...

Lubię iść Nowym Światem, by gdzieś tam w Alejach  
Znaleźć gościnną przy chodniku ławkę  
I na bezczynne mózgów aparaty  
Patrzeć jak na dziecinną, niewinną zabawkę...

Szukacie głębin w suchotniczych piersiach,  
 Jak smoła lepkie rzucacie spojrzenie,  
 Usta Wam liże trędowny przestach  
**Mo—że—nie?...**

?

Dziś uczony całe życie musi siedzieć,  
 by badać po latach tyłu  
 skład chemiczny wody Nilu (?),  
 i żeby móc powiedzieć  
 ogłupiałej z nudów ludzkości,  
 że **jeden obrót Saturna dookoła osi**  
**trwa 7 godzin i 50 minut.**

!

Panowie!  
 Biedni zblazowani panowie w getrach  
 cylindrach  
 i  
 z monoklami!..

Nie bójcie się!..  
**Gott mit uns!..**  
**Dieu avec nous!..**  
**Bóg z nami!..**

Nie patrzcie wciąż na życie poprzez pryzmat kufli  
 Nie imponujcie słońcu brylantem w pierścieniu...  
 Wiecie?..  
**Jedną ręką można podnieść wielki nieba sufit**  
**I stanąć w osłupieniu...**

## II.

Na wielki festyn zapraszam koledzy...  
 Przyjdźcie w zbrukanych, robotniczych bluzach,  
 Na rękach niechaj święta praca leży  
 I niech zmęczenie z oczu się wynurza...

Dziś moralność i cnota będą nam podawać  
 Owoce swego życia na srebrnym półmisku...  
 Uwaga!.. Kto zawstydzi się i zechce wstawać,  
 Ten, jak bałwan, dostanie po zgłupiałym pysku.

Na niewieikiej skorupie rozspanej ziemi  
 Zastawimy wytworne nakrycie,



A gdy będziem absyntem dosyć upojeni  
Szalonego cacke valke'a zatańczy nam życie.

I kiedy już nad ranem zabraknie Wam siły  
I będziecie spoglądać umęczonym wzrokiem,  
Zgotuję Wam widok ciekawy i miły —  
Ugoszczę Was nadludzkim, przeszalonym skokiem.

Kilimandżaro ducha zbuduję na chmurze  
Tysiące kilometrów ponad dachem świata  
I gdzieś tam w niezdozbytym, bezdałnym lazurze  
Zatknę znak Waszych Bogów — moje: tra-ta-ta-ta.

A gdy wśród pompatycznie połączanych naw  
Zbierzecie się jak bydło głupie i bezradne  
Skoczę na ostrza Waszych dogmatów i prawd  
Rozprysnę się... lecz wtedy... na serca Wam padnę..

*Aleks. Maliszewski.*

## Noc wenecka.

Niebo dziś — jak półkóła lśniaca szmaragdami,  
W Wenecji zapaliło gwiazdy w białych lustrach — —  
Księżyc — rubin — zgubiony skarb z pierścienia Doży  
Południową krew zburzył na dziewczęcych ustach — —

Cicho na klombach wędzną złote anemony,  
Ostatnie słowa cicho szepcząc Wieczornej Ewangelji —  
Plac Św. Marka blaskami poplamiony  
Zasypia — rajski ptak w lasach magnolji — — —

Śpią perły mórz — — Iskrzący błękit czuwa,  
W powietrzu drga namiętny szept mandolin — —  
Warkocze złotych lamp zasnuwa  
Błysk czarnych plam — sunących w dal gondoli —

Oplera się o brzeg gwiazdami Adrjatyku,  
Lubieżnie otuliła modrawy Ocean — —  
Jak słońca sztandar, rozpięta żagle krzyku — —  
Od tętna łez goreje krwi Ocean — — —

*Wacław Urbankowski.*

W ranek cichy, pachnący gwiazdami,  
 Pełną naręcz swych smutków przyniesiesz  
 I na szyję tęsknotę z koralu,  
 Jak sznur peret szumiących zawieszisz — —

Drobne ręce przytulisz do skroni —  
 Srebrne mewy do złotawej fali — — —  
 Jasne oczy Sykstyńskiej Madonny  
 Miłość nasza, jak słońce, zapali — —

Smutki — ptaki jesienne odpłyną  
 Gdzieś — za morze śpiące pod Tatrami — — —  
 W emaljewym na niebie zwierciadle  
 Zatrzepoczą jaskółki skrzydłami — —

I zakwitną korale w rubiny —  
 W serca złote, słońcem malowane — —  
 Pod twe nogi, jak dywan, rozścielę  
 Lśniącym słońcem okrytą polanę — —

*Wacław Urbankowski.*

Samo  $\left\{ \begin{array}{l} \text{lotem} \\ \text{chodem.} \end{array} \right.$



guzik. — piersi; płuca ——— gaz  
 nerwy ————— I-szy bieg  
 Słupy prężnym ruchem drutów  
 szykują się w skok

Dech — sz—u—u—um  
 ś—ś—w—ist —



Płaty wiatru, auta zgrzyt,  
 gwizd motoru —  
                     jęk kamieni —  
   sygnał —  
 pęki głosów —  
 tuż nad głową — chmury — mięka wata —  
 Milkną słowa — głowa — głowa  
 uciekają pola — drzewa —  
 rozrywają się na oścież słaniające drogi.  
 Przymknąć oczy, tykać pęd, zgarniać w dłonie prężne fale,  
 horyzonty wchłonać, chustą białą kurzu się zasłonić.  
 Puszcząć 4-y bieg —  
 człowiek — niekoronowany król —  
 kilometry — jak sekundy —  
 cyka serce dwóch zegarów —  
 czas, przestrzeń = dwa niknące samoloty.

*J. Zaira.*



## J e s i e ń.

Bladozłote bukiety—krynoliny drzew  
 rozhuśtane na fiszbinach gałęzi,  
 oczy, błękit, motyle, świegocący liść,  
 bujający na wietrznej uprzęży.

Drogi, drogi gnące się, jako sploty biodr,  
 pod ruchomym ginące kobiercem,  
 ławki z silną chorobą pokrzywionych nóg,  
 i skądś przyszła „Ballada o sercu“.

Drzewa, myśli, znużenie, zabłąkany ptak,  
 śpiewające trawniki tureckim deseniem,  
 rozsypane miljardy, sułtanowy skarb,  
 i tulące się do nóg milczenie.

Bladozłote bukiety, krynoliny drzew  
 w tańcu, tańcu po perskich dywanach,  
 krwawy snop iskier słońca, jasny, chóralny śpiew,  
 ptaków rajskich kapela rozśmiana.



Żółto figowy cień, pomarańczowy sen,  
wiosna, wino, niebieskie migdały,  
rzuty słońca, promieni złoto-niebieski len,  
szept jesieni, dyskretny, nieśmiały.

*J Zawra.*



## Tajemnica przystanku tramwajowego.

Po wygiętem biodrze lepkiej od jesiennego  
mroku ulicy zsuwało się czerwone pudło  
z rytmicznym płaczem nie oliwionych kół.  
Z wierzchu szyld

NAJLEPSZE LIKIERY BACZEWSKIEGO.

Przez mleczne klosze lamp kołyszących się  
lekko na elastycznej siatce mgły,  
ledwo przesiąka lepkie światło.

*Elektryczne oko czerwonego cyklopu nie ma powieki*

PRZYSTANEK  
TRAMWAJÓW MIEJSKICH

Zgrzyt

wu

wolniej

/

zgrzyt

u

wolniej

u

/

u

gzz

STAC — — |

Skok naprzód. Rozpychanie łokciami.  
Płacz dziecka. Błysk jedwabnych pończoch.  
(proszę nie czeptać się stopni)  
dzwonek

jazda ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■

i

ginąca czerwień w niepewnej czerności.  
Oparłem się o słup przystanku i nałożyłem  
tytoniu do fajki.  
Nie miałem zapalek.  
Spokojnie czekałem, aż spadnie gwiazda  
wprost na tytoń.

*Zdzisław Roykiewicz.*



## 8-a rano.

A gdy mętny poranek wykluwa się z waty  
I cisza ucieka, porzuciwszy krosna,  
Wybiegają służące wylękłe i blade  
W snu strzępach o kochankach i miłosnych nocach.

Gdy niebo złotą konwią polewa betony  
Do szkół biegnie złota szarańcza uczniaków,  
Niosąc pod kurtką pierwsze kwiaty czerwone  
I pierwsze wiersze miłosne — w plecaku.

I ja z wami tak chodzę po dzwoniących ulicach  
Błogosławiąc jak pielgrzym miasto, rytm i ciszę.  
Tylko kwiatów czerwonych pod kurtką nie noszę  
I wierszy miłosnych nie piszę.

*Zdzisław Roykiewicz.*

## Erenburg.

Wzrostu niewysokiego. Lat 33. Twarz ruchliwa, bez zarostu, o semickim typie. Fajka. Ruchy nerwowe, szybkie, patetyczne. Największy pisarz współczesnej Rosji — Eljasz Erenburg.

Do literatury wszedł niespodziewany. Cały szereg kapitalnych dzieł, o coraz innym obliczu, — gmachy z żelazo-betonu, w których przechadza się sam.

Miłuje ziemię i życie. Miłuje do szaleństwa, do targania się na nie ze szpicrutą ironji. Przez ból ironji — idzie do pustego i jasnego „będzie“. Analityk, — o nerwach chirurga, — spostrzegawczy — rozumie świetnie że „Dziś“: — najdoskonalszy bałagan, najweselsza anarchja; że wszystko przez wieki gnijące w piwnicach, wylało na wierzch i panoszy się. Nie protestuje. Ulubione zajęcie: siedzi w paryskiej „Cafe Rotonde“, pali fajkę i przygląda się ulicy. A za nią, za barykadami dni—jarzące się jutrznie „Jutra“. — „Wiersze o wigiljach“ (1915—1921).

„Wigilje“ — pierwszy krok Erenburga. Pierwszy po wyzwoleniu się z młodzieńczej poezji katolicyzmu i mistyki nacjonalizmu. W „Wigiljach“ niema „albo-albo“, wszystko wyraźne, dopowiedziane, mocne. Ciężkie, jak łomot kolumn. Preraźliwe: syk ostrzegawczych, tryumfalnych syren.

„Do Ciebie się modłę —  
wigiljo czarnego roku“.

I dalej:

„Przez jednych, wyklęty, przez innych wyśmiany,  
Sam jeden śród ogni,  
Spotykam jutrznie, powstające w dali,  
mego pośmiertnego dnia“.

Nieunikniony — nadejście. Teraz: konwulsyjne drgawki — patetyczne buczenie starego porządku, zbutwiałych podstaw. I o tym — „Niezwykłe przygody Juljo Juremto“. (Ukaże się wkrótce w przekładzie polskim).





„Juljo Jurenito“ — przedewszystkiem satyra. Potem tragedia. Temat: pochwała głupoty, ironiczne wychwalanie i obrona paradoksalnych stron gnijącego życia. Erenburg — „adwokat djabła“ — z sarkastycznym uśmiechem zachwyca się perfidją i szablonem ludzi, historją naszych wlekkich dni. Kiedyś Flaubert tak napisał: „Burard et Pecuchér“. Wspaniałe błyski sarkazmu — opisy wojny. O książce swej mówi Erenburg: „W Belgji napisałem „Jurenito“. To jedyna moja książka „na serjo“; zdaje się, ani krytyka, ani czytający, ani ja sam nie wiemy, gdzie w niej kończy się ironja“.

„Potem — „Trzyście Fajek“, „Sześć opowieści“, wiersze „Miłość opustaszająca“, książka o teorii szuki („A jednak się porusza“). Schemat ostatniej: przewidując przyszły kolektywizm, jako jedyne możliwe podporządkowanie stosunków ludzkich, autor podpowiada wewnętrzną treść tej formy, zaznacza zjawiska, wskazujące przyszły styl i od dzisiejszej sztuki konstrukcyjnej prowadzi do kolektywnej, mającej wyrazić psychikę wytwórcy a nie odbiorcy.

O Rosji współczesnej — dwie książki: „Nieprawdopodobne „historje“ i „Życie i śmierć Mikołaja Kurbowa“. Nerwowe i niespokojne. Splot życia realnego i symboli. Walka dwóch ustrojów, po jednej stronie stara prawosławna, zaśniedziała „Ruś“, po drugiej — „Uskoczeń“, zdobywca nowego życia, człowiek z planami przyszłego żelaznego ustroju.

Język — szczyt artyzmu. Krótki, lapidarny, ostry, — śmiga samolotu — trzask Mauser'a — dudnienie wyłożonych antenn. Skróty — niebywała, ekspesja i plastyka — zmysłowa, mięsista

Czytajcie Erenburga! Uczcie się żyć. W oczach naszych tworzą się epoki, rosą dolomity, stygną lodowce, lewary z gęstwiny miast ręce unoszą ku niebu. Erenburg uśmiecha się. Erenburg — ironizowanie i umiłowanie ziemi.

A ponad wszystko — mądrość wyrozumiałości. Ponad nihilizm — modlitewność. Ponad sceptycyzm — wiara. W obliczu zgłiszcz Verdun'u mówi:

„Wojna nie jest zakończeniem oczyszczenia ziemi. Dopóki żyją ludzie — będą miasta, knajpy, armaty, dolary, święte książeczki — słowem wszystko co potrzeba dla porządnego człowieka, aby nie w przeciągu roku, lecz dwudziestu czterech godzin zohydzić każdy szmat ziemi, tak zwanej „bożej ziemi“. Lecz patrzcie. Na minutę otwiera się przed Wami zasłona dalekich czasów. To przecucie — obrazy ostatniej ognistej kąpieli“...

I dalej:

„Tak żyję ja, brzydko żyję, lecz nie wstydę się i nie rozpaczam. Oczywiście — umrę, nie ujrawszy nigdy dzikich pól, z tańcami, z rykiem i dziecinnie — bezmyślnym śmiechem nareszcie wolnych ludzi. Lecz teraz rzucam nasiona dalekiego szaleju i ruty. Nieuniknione nadejdzie, wierzę w to — i wszystkim, którzy czekają — braciom bez boga, bez programów, bez idei, gołym i wyszydzanym, miłującym tylko wiatr i skandal — ślę ostatni pocałunek“...

*Stanisław Saliński.*



## Na Samoã.

*Irenie C.*

Powietrze, nasiąkłe kurzem, świdrują aut syreny  
i gwizdzą lokomotywy o-ách! — o-ách! — o-ách!..  
Wygnani w słoneczne dale jedziemy z Tobã, Ireno,  
na Samoã.

Za jakieś dwadzieścia minut w szerokie okna sleeping'ów  
runã w zawrotnym pędzie pola, — przystanki, — wiatr, —





zachody i zorze barwne, jak złote skrzydła flamingów,  
i szumem tysięcy ludzi ogłuszy nas inny świat.

A potem angielski parowiec, pachnący jawańską kawą,  
przez kolorowe porty popłynie w zieloną dal,  
aż wreszcie nasze walizki z dziwną nalepką „Warszawa“  
czarni kulisi złożą przed domkiem w gęstwinie palm.

I pocznem hodować kwiaty, polować na antylopy,  
i życie stanie się pasmem istic królewskich sjest.  
i tylko pocztowe parowce płynące do Europy  
przypomną nam — co sobota — że coś poza nami jest.

A gdy nas bezczynność znudzi — Ty będziesz zbierać banany,  
ja — pisać wiersze w narzeczu, w którym są same „a“,  
i będzie pusto i jasno wśród modrych pól Oceanu  
na Samoá.

*Stanisław Saliński.*



## Zamach stanu.

Rozprzęgnąć zdychającego byka  
O podsiniątych ślepiach  
Z obwisłym z rozkoszy łbem  
Sparaliżowanego Onana- Życia!!!

Rozkiełznać niewinne bydło:  
Nie ruszy się z miejsca, chociaż  
Wbić but z błyszczącą ostrogą  
W pokraczny, opasły brzuch!

Dziś samolotem pobijemy finisz  
Wściekłą podróżą naokoło świata,  
A chociaż motor 100 HP rozeprze,  
Musimy dogonić i —  
Zamordować wczorajszego boga  
Gdzieś na przylądku Dobrej Nadziei  
I ogłosić słoneczne święto:

Zwycięstwo ŻYWEGO ŻYCIA!!!

Dziś na biegun przeniosą nas promienie radio,  
 Jowisza przegramy w czerwienno asa,  
 Dostyc już starczych, zaślinionych werw;  
 Dzisiaj maszyna nas odmładza  
 I rozpalony nerw!!!

Dzisiaj inaczej gramy stare scherza,  
 Jakie rzępolić zwykł staruszek Dante.  
 Falą Hertza strzelamy w romantyczne serca  
 A z dziadunia Kanta robimy amanta:

Niesiemy im wszystkim czuły promień śmierci!!!  
 Na nas tylko działa:  
 Elektryczny prąd,  
 Stalowy mięsień  
 I wciąż musująca krew!!!

*Marjan Markowski.*



## Lato.

Żółty skwar się na głowach drzew ospale kładzie.  
 Fioletowe słońce pluje śliną złotą.  
 Nagie, smukłe dziewczęta rwą owoce w sadzie.  
 A później je wargami czerwoni gniotą.

Miarowo się podnoszą ręce ich brzożowe,  
 Miarowo kładą owoc w pocałunków gniazdko.  
 Kołysze się nad nimi niebo kolorowe,  
 Ubrane jak w pyjamę w rozkrzyczane blaski.

Jak rubin świegot ptaków z serca drzew gęstwiny  
 Wybłyska i leje się wraz z listowia wonią.  
 Chwytają go w gałązki palców swych dziewczyny  
 I głaszczą malowaną w sine żytki dłonią.

W sandałach purpurowych dzień upalny kroczy  
 Na zachód bardzo wolno, jak leniwiec stary.  
 O, jeszcze długo — czekać nim na ziemi oczy  
 Noc włoży swoje wielkie, czarne okulary.

*Włodzimierz Słobodnik.*



## Dezercja.

Kapitan torpedowca w krwawym skwarze boju,  
Kiedy granatów gwiazdy wiodły nad nim flirty,  
Wymarzył ljan splątane włosy w wieńcach znoju,  
Poczuwszy, jak zakwitły w sercu jego mirty.

I wydał rozkaz: „Jazda do złocistej sierści  
Zwrotników! Uciekajmy od tych głupich panik!  
Przodem do życia, tyłem do kościstej śmierci  
Niechaj odwróci statek brat mój Człek-mechanik!

I była najweselsza to na świecie podróż.  
Fale mordami wyły: „Niechaj żyje pokój!“  
Słonecznych blasków igły wonne, jako splot róż  
Kłudy butelkę statku z przodu, z tyłu, z boku.

Galony kapitana starły pocałunki  
Bronzowe marynarzy; wszyscy jedną szarzę  
Człowieka mieli! Wszyscy pili słońca trunki,  
I człowiek na człowieka więcej się nie skarżył!

A kiedy zawinęli do cichego portu  
Tęczy Przymierza z włosów ich trysnęły lilje,  
I Chrystus ku nim spłynął z mlecznych chmur kohorty:  
Brata Człowieka witał Syn Człowieczy mile.

*Włodzimierz Słobodnik.*

## Bieg na Olimpjadzie.

Chwile urywają się w niepojętej męce  
Naprzód... marsz... bieg pierwszy... minut pięć! —  
Drogowskazy rozciągnęły suche, kanciaste ręce —  
Dwa tysiące metrów! — Przestrzeń drga jak rtęć.

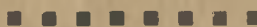
Pierwszy, drugi, dziesiąty... piętnasty —  
Kolorowa gama wali w serce i wzrok,  
Czyhają za przeszkodami sturamiennie gwiazdy,  
Warczące echa kryją się za płot.



W błękitne strzepy zszarpane powietrze.  
 Jeszcze krok! Już pryska ciszy naciągnięty łuk,  
 Rozluźnione osuwają się oporu twarde kleszcze  
 I złota strzała celu przypada do nóg.

Tryumfalny wrzask roznoszą ogorzałe trąby  
 I okrzykiem wybucha wleobarwny tłum.  
 Roześmiane fale oklasków runęły pod stopy,  
 By dogonić prędzej życia srebrny szum.

*Zofja Dąbrowska.*



## Na plaży.

Słońce przeciąga się na niebie, rozchyła ramiona,  
 Ziemia dyszy z pragnienia i żaru —  
 Wychodzimy wszyscy z czarnych, cichych domów,  
 Spiesząc na lśniąca piaski wśród srebrnego gwaru.

Z promieniami złotymi kładziemy się nad rzeką  
 Więc krzykliwe kolory kostjumów się swarzą —  
 Leżymy beztroskliwi w błękit przyrośnięci twarzą  
 I w słońcu zanurzeni po uszy głęboko.

Gdy upał wężem ognistym ciała już opasze  
 Spadamy do wody jak barwne komety  
 A z nami z szumiącym, rozgłośnym hałasem  
 Wskakują w fale drzewa, chmury i fiolety.

*Zofja Dąbrowska.*



## TRYPTYK CIEMNY.

### Opetanie.

*Stanisławowi Salińskiemu.*

Moje noce zalęknione, infernalne  
 na skrzydliskach zielonawych się kołyszą,  
 opętane straszylaki, sny astralne  
 suną do mnie i wibrują nocną ciszą.



W ciemnej głębi naprzeciwko mego łoża  
wisi . . . . . Matka Boża.

Z ram wychodzi przyczajona bezszelestnie,  
krokiem wolnej i falistej sarabandy,  
ponad czołem dyszą duszne gwiazd girlandy,  
co się palą krwawym blaskiem bezszelestnie.

Idzie, płynie, sunie wolno ruchem węża,  
. . . . . poomacku się przekrada,  
nad mem łożem później staje trupio blada,  
moje ciało przeraźliwym lękiem stęża.

Swoich długich, zakrzywionych palców kleszczem  
bierze moją zlaną zimnym potem głowę,  
wbija we mnie swoje oczy piorunowe,  
. . . . .

Rozedrgana w spazmatycznym kołysaniu,  
. . . . .  
. . . . .  
krwawe kwiaty krwawą falą płyną za nią.

I odchodzi krokiem wolnej sarabandy  
niespokojnie, kołysząco i faliście;  
rozjarzone zimnym blaskiem gwiazd girlandy  
znaczą drogę migotliwie i świetliście...

I z obrazu patrzy na mnie trupia, chora  
Matka Boża — tajemnica przeotchlanna,  
. . . . .  
Matka Boża, Przenajświętsza Czysta Panna...

*Konstanty I. Gałczyński.*

## Sobowtór.

Leżę na otomanie w półomdleniu bogów  
I słucham szmeru ściennego zegara „Le roi Paris“  
Wtem... wyłazi sobowtór z płomienia lampy, stanął na progu  
Rośnie wyolbrzymia się jak w sabat łysogórskie czary  
Wiem, że chciałby mi usiąść na głowę  
I rozpląszczyć, jak talerz z Jazz-bandu

Albo walić rubinowymi pięściami w serce jak w bęben  
 O! — idzie — jaki niezdarny — na spodniach nie ma kantu,  
 Nie ostrzyżony, plecy zwinięte w paraboli kłębek —  
 Chce rozpocząć rozmowę  
 Chce mi rzucić na pierś pęk zwiędłych halucynacji  
 Co to? odchodzi, a może go zawołać?  
 Mam papierosy, poczęstuje — niech wypuści dymu błękit asocjacji  
 Niech pali — będę się jak zawsze skromnością jego warg lubować  
 — — — — —  
 Wtem... mózg fiknął koziołka „sens dessus dessous“  
 Zawirował — rozmachem wżarł się w atlas poduszki WARJAT!! —  
 Potem położył się obok mnie, w rękę trzyma jedwabną modlitwę do snu.  
 Zasypia,—z poduszki rozdartej uniósł się nad nim chmurą beczkę Waldhaar.  
*Henryk Mroczek.*

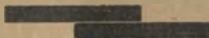


## Kowal.

*P. Wandzie Niewiadomskiej.*

Na złotych kowadłach kuję wam okowy,  
 Przepasany długim kowalskim fartuchem,  
 Pot, jak srebrna fala, spływa mi do głowy.  
 Kowalem jestem w kuźni natężonych mięśni,  
 Kuję słowa, jak ognistym rumakom podkowy.  
 Na kowadła spadają rozpalone młoty,  
 Kuję dziś metal błękitnego wlotu,  
 Aż iskry lecą — jak z pieczar czarodziejskie grzmoty,  
 I wieszają światła na śnieżnej szyi wodotrysku.  
 Na złotych kowadłach kuję wam okowy,  
 By wykutemi zakląć was w uścisku.

*Henryk Mroczek.*



## Twórczość akademicka.

Dzięki temu, że studenci piszący wiersze potworzyli sekcje twórczości osobistej, że urządzają wieczory autorskie i publikują utwory, można, choć w przybliżeniu, określić pewne wartości, a co ważniejsze, odbyć rewję, która da możliwość wyprowadzenia wniosków na najbliższą przyszłość. Nie chodzi tu o tolerowanie grafomaństwa, ale o przypuszczalne stwierdzenie, jak mniej więcej zapowiada się twórczość tych, którzy opuszczają wyższe uczelnie i zechcą zabawić się piórem. Bo niewątpliwie już teraz zetkniemy się nie z jednym talentem, co pozwoli zbliżyć



obserwować rozwój twórczości. Mało zwraca się u nas uwagi na te rzeczy, nic się nie mówi o wspólnej pracy artystycznej (jak się ma sprawa akademii literackiej, projektowanej przez Zeromskiego, par exemple?) co tu mówić, niema poprostu ośrodka kultury artystycznej. Gdy na zachodzie sprawy te ulegają kardynalnym zmianom, do nas importuje się conajwyżej golfy z wydłużanymi nosami.

Tem skwapliwiej chwytam okazję, t. zn. kilka czasopism, w których pomieszczone są utwory grup poetyckich prawie wszystkich uniwersytetów.

„Młodość chce tworzyć“ powiedział któryś z filozofów. To właśnie powiedzenie każe przypuszczać, że nie każdy z piszących musi być artystą. Częstokroć elukubracje młodych ludzi są poprostu formą wyładowania się (jak sport np.). Ale tam, gdzie widać pewne przebliski pracy, pewien wysiłek twórczy (bez dwuznacznika), tam możemy przystąpić z czystym sumieniem.

Publikowały utwory:

Grupa studentów uniwersytetu warszawskiego (sekcja twórczości osobistej w czasopiśmie „Twórczość młodej Polski“, pod nazwą: Torpeda (wychodziło w Warszawie).

Studenci uniwersytetu krakowskiego w tymże czasopiśmie pod nazwą: Dodatek artystyczno-literacki uniwersytetu krakowskiego.

Studenci uniwersytetu wileńskiego w tymże czasopiśmie p. t. „Kącik Wileński“.

Oraz studenci uniwersytetu poznańskiego w tygodniku „Praca“ (Poznań).

Uniwersytety: lwowski i lubelski jakoś się nie odezwały.

Zacznijmy od uniwersytetu Warszawskiego.

№ 3 „Twórcz. Mł. Pol.“ zaczyna się publikować pierwsze utwory.

Przedewszystkiem uderza niewspółczesność. Nic się na światowym rynku literackim nie dzieje, niema żadnych wysiłków; spokojniutko, zacisznie, kwiatki, serwantki, markizy — savez-vous, balladki. Żeby choć konsekwentny konserwatyzm artystyczny — no, niechtam. Ale i to nie. Trochę źle pojętej „Młodej Polski“ (tej z 1900 r.) (mglistość obrazu i usiłowanie wydobywania melodyjności) trochę expresjonizmu i to... prawie wszystko. Napisałem prawie, gdyż jest kilka wierszy lepszych. Lepsze utwory napisali: Jan Orski (trzeba się jednak wyzbyc banalnego traktowania tematów), Roman Lalewicz (to samo zastrzeżenie).

Najlepiej przedstawia się Złtner (który nie wiem, dla czego) wierszy nie podpisuje.

Wogóle uderza brak zrozumienia formy, co daje do myślenia, że temi zagadnieniami „terpedowcy“ się nie interesują. A to źle. Można odkryć wiele możliwości wypowiedzenia się, co jest rzeczą pierwszorzędną wartości (o ile ma się co do powiedzenia).

Do tego stanu rzeczy przyczynia się brak katedry literatury współczesnej. To powoduje, że młodzi twórcy żyją czasem przeszłym, częstokroć źle zrozumianym.

Grupa studentów uniw. krakowskiego, choć mniej zdolna od warszawskiej, stara się bardziej uwspółcześnić, ale trzeba przyznać, że nie zawsze im się to udaje.

Wpływ „Zwrotnicy“ (o dużej kulturze teoretycznej, ale gorszej twórczej) wyraźny.

Widoczne niezrozumienie pewnych zagadnień.

Chodzi o konstruktywizm, który przejawia się zarówno w sztukach plastycznych, jak i w poezji.

Nie jest to wstydem dla uniw. krakowskiego, gdyż w Polsce ani jeden poeta nie napisał dobrego wiersza „konstruktywistycznego“. Były tylko nieudolne próby. Dobrze pojęty konstruktywizm, jest to odpowiednie użycie współczesnych środków techniki poetyckiej, jest to kierunek syntetyzujący. Źle go zrozumiał np. p. Adrjan Czerwiński (Płuca). Pisząc wyraz: k o k a r d y, rysuje prymitywną kokardę, pisząc: d o m rysuje prostokąt.

To zupełnie myłne. Znak graficzny w wierszu ma zastępować słowo ma konkretyzować pojęcie w formie widocznej. Tymczasem wyraz „dom“ i „kokarda“ aż nadto dobrze podsuwają przedmioty: dom i kokardę. Banalne są „futuryzje“ J. Ed. Dudkiewicza. Wyróżnia się natomiast p. Jalu Kurek, i proza Juljana Przybosia oraz Jana Darskiego (język względnie staranny, banalności w określeniach i poza na „podświadomość ekspresyjną“).

Najgorzej przedstawia się twórczość uniw. wileńskiego. Największy wysiłek — dorównać Mickiewiczowi. Niepotrzebne marnowanie papieru.

Studenci uniwersytetu poznańskiego produkują się w „Pracy“ pod nazwą „Monsalwat“.

Dlaczego tak ciernista droga? skąd te męki? W przedmowie czytamy o „liberalizmie programowym i o oscytacji pomiędzy wielu kierunkami“. Wcale tego nie znać. Przeciwnie, wszyscy są jakby wklęci w „jęki duszy trwożliwej“. Same trupy, krew, męczeństwo, uciekanie na ustronia. Niezdrowe symbolizmy, „mistyczna zaduma, „blade wizje“ (p. Kolbuszewski w „Ślepej nieznanym“ myli się zasadniczo w sądach o poezji. Radzimy krytyczniej przyjrzeć się technice np. Słowackiego) należą do przeszłości „Zdroju“ (zresztą najbardziej kulturalnego piśma w Polsce, najbardziej niewspółczesnego i najbardziej pozostającego pod wpływem niemieckiego ekspresjonizmu) nie należy powtarzać i to nieumiejętnie. Monsalwatyci słabo się orjentują w zagadnieniach poetyki — stąd wszystkie braki.

Zresztą oprócz Stefana Balickiego, nikt na uwagę (dotychczas) nie zasługuje. Balicki jest b. ciężki, b. zagmatwany, ale w każdym razie — coś jest.

W ostatniej strofie „Złych wieści“ — zbędna przesada. Wnioski z tej krotkiej rewji są nader niewesołe.

Dotychczas zapowiada się z uniwersytetów 7-iu adeptów sztuki poetyckiej, rzecz prosta z daleko idącymi zastrzeżeniami. To mówi za siebie. Gorsza rzecz z krytyką.

Aczkolwiek każdy uniwersytet zapowiada prace krytyczne — ani jeden ich jeszcze nie publikował. A przecież jest to czas, w którym już się krytycznie poczyna myśleć i w tym kierunku pracować. Nie zawsze można liczyć na domorosłych geszefciarzy. Jest objaw tak poważny że warto, aby się zastanowili ci, którzy stoją na czele polskiej nauki.

Rzecz prosta, że powyższe uwagi mówią bardzo mało o przyszłości.

Miejmy nadzieję, że obecny stan rzeczy jest przejściowy. Czasby jednak zobaczyć początek pracy bardziej obiecującej.

*Z. Roykiewicz.*



## Cyrk.

Cyrku w Polsce nie ma. To co się cyrkiem nazywa, jest zwykłą budą, bez przestrzeni, bez powietrza, w zimie chłodna w lecie duszna. Ani budowa, ani urządzenie na nazwę cyrku nie zasługują. Cyrkiem nazywa się wielki stadion z dużą areną, odpowiednio skonstruowany. Produkcje przeważnie są nędzne. Z jednej strony publiczność nie wie czego żądać, z drugiej dyrekcja nie wie co dawać. W ten sposób doprowadzono do dzisiejszego stanu rzeczy. Zasadniczą cechą dobrego „numeru“ cyrkowego jest piękno linii, ruchu (plastyka) pomysłowość, szybkość, rytmika i opanowanie (technika). Jeśli dodamy dobrą budowę ciała, operacje świetlne i odpowiednio zastosowaną muzykę (t. zn. np. podkreślającą rytmikę wykonywanego popisu), powiemy, że nie łatwo te dane konsekwentnie zharmonizować.

W cyrku warszawskim dobre popisy są rzadkością. W 1-ym programie dobra była grupa japończyków i popisy na linie. 2-gi program ma większą wartość. Dobra zonglerka, świetna jazda na rowerze, pomysłowe skoki z odskoczni, mówią same za siebie. Nawet (co się rzadko zdarza) pokazano nowy w naszym cyrku (stary wogóle) voltige na koniach. Niezłe ćwiczenia (kobieta na trapezie). Skwapliwie będziemy obserwować działalność cyrku warszawskiego.

*Z.*





## Z wystaw.

Praca już wre. W różnych miejscach zachodu daje się odczuć ten twórczy spontaniczny wysiłek, dążność do przewartościowania wartości, do zbadania podstaw, do rewizji poglądów. Prócz tego jest już wiele pożytecznych rezultatów tej pracy. Z zakresu plastyki mamy cały szereg kierunków, które posługują się prawami odkrytymi przez współczesnych. Na wschodzie Europy daje się odczuć w plastyce tendencja par excellence dynamiczna, co zresztą tłumaczy się sytuacją polityczną. Zachód buduje swój światopogląd na prawach statyczności. Wszędzie daje się wyczuć negacja w stosunku do przypadkowego ornamentu, budowanie obrazu elementarnymi środkami przy pomocy barw prymitywnych i form geometrycznych. Najzdrowszym wyrazem twórczości współczesnej jest nowa architektura, której charakter jest kolektywny — co wyklucza niezdrowe indywidualizowanie form.

Oparta mocno o zdrowe zasady budownictwa, wyrosła i wychowana w kreslarniach techników, nowa architektura rokuje największą nadzieję na przyszłość.

Higieniczne, zdrowe, jasne i celowo zbudowane domy niewątpliwie przyczynią się do zreformowania psychiki współczesnego człowieka.

Nowe pokolenie nowym sposobem myślenia stworzy współczesną, zdrową kulturę.  
B. L.

### Doroczna wystawa prac studentów architektury w gmachu politechniki.

Dwie małe, jasne sale. Dużo obrazków, sporo dobrych rysunków, akwareli, sanguiny, kilka architektonicznych projektów. W tym wszystkim można się wiele rzeczy dopatrzeć, prócz jednego — architektury.

Są to par excellence prace graficzne, ciepłe, ładne, miłe. Absolutny brak myśli przewodniej. Niema wytycznej dla kolektywnej pracy studentów. Mniejsze lub większe wpływy kierunków kolportowanych z Niemiec za pośrednictwem Koch-Verlag'u. Na ogólnym, bardzo szarym i bardzo mętym tle kilka (zaledwie) dobrych rzeczy. Śpichrz wybija się bodaj czy nie na pierwsze miejsce.

Berthold Lubelkin.

## Kina.

Kino-teatry warszawskie, po okresie takich sensacji kryminalnych, przeszły obecnie do dramatu psychologicznego i lekkiej, zdrowej, często bez związku logicznego „maszynki śmiechu”. Komedje i lairy w dawnym stylu nużą i nie cieszą się powodzeniem.

W notatkach swych nie będę rozwodził się nad repertuarami poszczególnych dyrekcji, wymienię tylko obrazy godniejsze uwagi.

KINO WODEWIL: **Grzech matki** — z redactką naszą Stanisławą Galonne — scenarjusz niebanalny — dekoracje i oświetlenia dobrze pomyślane, reżyserja staranna. To samo można powiedzieć o **Modę z magazynu mód** — z Lucy Doraine. **Gdy kobieta zapragnie** w przeróbce z romansu Franka Hellera (Harry Liedtke, Alfred Abel). Dyrekcji tego kino-teatru należy się uznanie. Również dobre filmy rzucają na ekran kina „NOWY” i „PAN”. Na wyróżnienie zasługują **La gare sonne** — (Andrea Brabant i Georgies Gauttiers) musujący humorem „On” (Harold Lloyd), **Gdy walą się trony** (Ellen Richter) i dowcipnie pomyślana **Rosita** z Mary Pickford.

KINO VARSAVIA — wyświetla filmy o specjalnym charakterze. Pomysłowość i wykonanie nie kłócą się weale ze sobą, bo prawie ich niema. Zawsze można z góry przewidzieć wynik każdej niemal sceny.

Z całego sezonu letniego można wymienić tylko dwa obrazy: **Na jedną noc** i ostatnio graną **Przygody Tarzana i Hollywood** — pomimo wielkiego krzyku ze strony dyrekcji, na zwrócenie szczególnej uwagi nie zasługuje, może tylko kilka scen np. sen. Bardzo ciekawy eksperyment pokazał nam **STYLOWY** — w komedji **Zwierzęta jak ludzie**. Lepsze filmy: **Czu-czin-Czau** i **Pieśń miłości tryumfującej**.

KINO-TEATR ROCOCO — dał bardzo ciekawy obraz **Za la mort** — z Fern Andrą i Emilem Ghione w roli apasza. Pomysłowa reżyserja, dobre sceny zbiorowe. Drama **Natan Mędrzec** — zdaleka pachnie niesmacznym niemieckim naturalizmem. Doskonały natomiast jest Harold Lloyd w warjackich wprost 9-cio aktowych pamiętnikach swoich.

Tylko o filmach wytwórni polskich nie można nic powiedzieć. Bo nawet jeżeli ukaże się który, to tylko po to, aby zakomunikować publiczności, jak jesteśmy nieudolni i banalni.

A. M.



## Zapiski.

### „BLOK“.

Kulturalne pismo awangardy artystycznej nawiązuje trwały kontakt z zachodem, dając w ten sposób możliwość zapoznania się z temi przejawami sztuki u obcych, z którymi dopiero stykamy się w kilka lat po narodzinach. Pismo zwraca uwagę wyglądem. Jest to pierwsze u nas pismo awangardzistów tak dobrze pomyślane i w trudnych warunkach — wydane. Bez przesady lepiej się ono przedstawia niż niejedno pismo zagraniczne. Twórczość „blokistów“ to pierwsza faza po wyzbyciu się dawności. Olbrzymi nakład pracy jaki włożyli w pismo, daje rękojmię, że nie długo doczekamy się rzeczy jeszcze lepszych. Blok, walczący z konserwatyzmem i małomieszczańskim rozumieniem sztuki, zasługuje na 5000+1000 egz. prenumerat.

### „KOBIEŃ“.

Miesięcznik ten mógłby stać się zupełnie pożytecznym pismem, gdyby sprawę traktowało się poważnie. Niektóre artykuły w 5 i 6 numerze są do czegoś podobne. Dział literacki — pod zdechłym psem. Ostatni № 7 jest znacznie lepszy (i lepiej wydany). Jest to za sprawą Światomira Bohdana. Do dobrego poziomu — jeszcze daleko.

### Od Redakcji.

Włodzimierz Słobodnik od dn. 10 sierpnia r. b. jest członkiem grupy literackiej „SMOK“ i stałym współpracownikiem naszego pisma.

## Pisma nadesłane.

**Kobieta** — miesięcznik poświęcony sprawom kobiecym i całokształtowi życia.

**Wiadomości Literackie** — tygodnik literacki.

**Ewangelja myśli.**

**Tydzień płocki** — tygodnik demokracji.

**Blok** — czasopismo awangardy artystycznej.

---

W najbliższym ostate (listopad) ukaże się nowy tom poezji Zofji Dąbrowskiej i Zdzisława Roykiewicza p. t. „RYTMY PRZESTRZENI“.

Jak się dowiadujemy grupa studentów architektury wydaje wkrótce nowe pismo p. t. „STANDARD“, mające objąć całokształt zjawisk życia codziennego z punktu widzenia możliwości nowej kultury. Redaktorem jest **B. Lubetkin.**

„ULICA SIĘDMIU ŚPIEWAJĄCYCH KOMET„. Pod tym tytułem w najbliższym czasie nakładem „Warszawskiego Instytutu Wydawniczego“ ukaże się antologia poezji Konstantego I. Gałczyńskiego, Włodzimierza Słobodnika i Stanisława Salińskiego. Do nabycia we wszystkich księgarniach.

---

Rysunek okładki projektował Adam Jasieńczyk-Jabłoński.

---

REDAKTOR:            Zdzisław Roykiewic.  
REDAKTOR-WYDAWCA: Wacław Urbankowski.  
SEKRETARZ REDAKCJI: Aleks. Wallezewski.

---

Adres redakcji i administracji: ul. Dobra 31 m. 5.  
Redakcja przyjmuje we wtorki, środy piątki od 4—6 pp.

---

Przedstawicielstwo i skład główny na Warszawę posiada księgarnia M. Ostaszewskiej ul. Aleje Jerozolimskie 23.

---

Zakł. Graf. P. SZWEDE, Warszawa, Warecka 9 Tel. 509-31.